Nr. 17 Rok 2 Kraków, dnia 27. kwietnia 1941. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



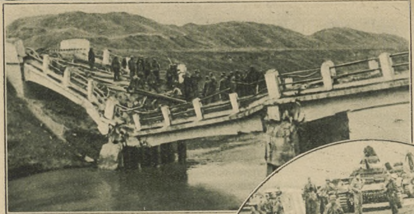
KWIETNIOWE SŁOŃCE W KRYNICY

Fot. Atlantic

Bibl. Jagiell. 1986 CD

Jugosławia skapitulowała bez żadnych warunków po 12 dniach









MOST ZBURZONY PRZED SALONIKAMI

Pionierzy niemieccy doprowadzają go w krótkim czasie do stanu używalności, tak że idące za nimi niemieckie siły pancerne mogą przejechać go bez trudu (w kole na prawo).

BOMBY TRAFIŁY W CEL

Niemieckie eskadry bombowców Stu-ka zbombardowały serbską fabrykę amunicji w Kulevac, która jak to widzimy na naszym zdjęciu pali się. Długie chmury dymu świadczą o działalności tych bomb.

Na prawo: **17. kwietnia o godz. 21. złożyła cała jugosłowiańska siła zbrojna, o ile dotąd jeszcze nie była rozbrojona, broń bez żadnych warunków. Kapitulacja wchodzi w życie dnia 18. kwietnia, o godz. 12.**

GENERAŁ SIMOWICZ UCIEKŁ

Generał jugosłowiański i przywódca puczu wojskowego w Serbii uciekł jeszcze przed kapitulacją Jugosławii do Aten i pozostawił naród jugosłowiański swojemu losowi.



SYNOWIE MUSSOLINIEGO ZDAJĄ SPRAWOZDANIE O SWOIM LOCIE W JUGOSŁAWII

Bruno i Vittorio Mussolini brali jako oficerowie czynny udział w walkach w Jugosławii. Na zdjęciu naszym zdają sprawozdanie niemieckiemu sprawozdawcy wojennemu ze swego lotu nieprzyjacielskiego.

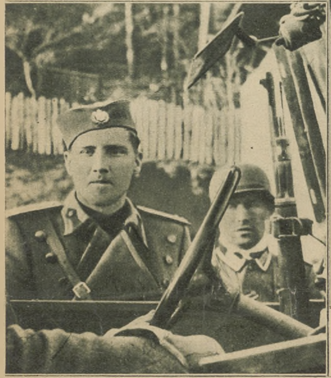
Fot: Ass. Press (6)
Atlantic (5)

Na prawo:

„SKŁADAMY BROŃ"

Atakującym niemieckim wojskom wyszedł naprzeciw parlamentariusz serbski i prosi oficera niemieckiego o wszczęcie rokowań.







W ten sposob zakończyła się w czasie nie do pojęcia krótkim, bo po dwunastu dniach, wojna na ziemi serbskiej. I zarazem upadło państwo, które wbrew rozsądkowi sprzymierzyło się w ostatniej chwili z Wielką Brytanią i siłą rzeczy musiało zostać starte w walce dwóch mocarstw światowych: Niemiec i Anglii. Na zdjęciu naszym wojska serbskie składają broń.

Bitwa o Afrykę płn.





U góry: Tutaj widzimy uderzenia granatów przed Marsa el Brega.

Na lewo: Artyleria niemieckiego korpusu afrykańskiego w walce o Marsa el Brega, które zostało zdobyte 4 kwietnia.

Na prawo: Odprowadzenie jeńców angielskich składających się z Kanadyjczyków, Australijczyków i Hindusów.

U dołu: Czujka niemieckiego korpusu afrykańskiego.





Lotnictwo HISZPANJI

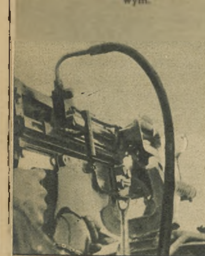




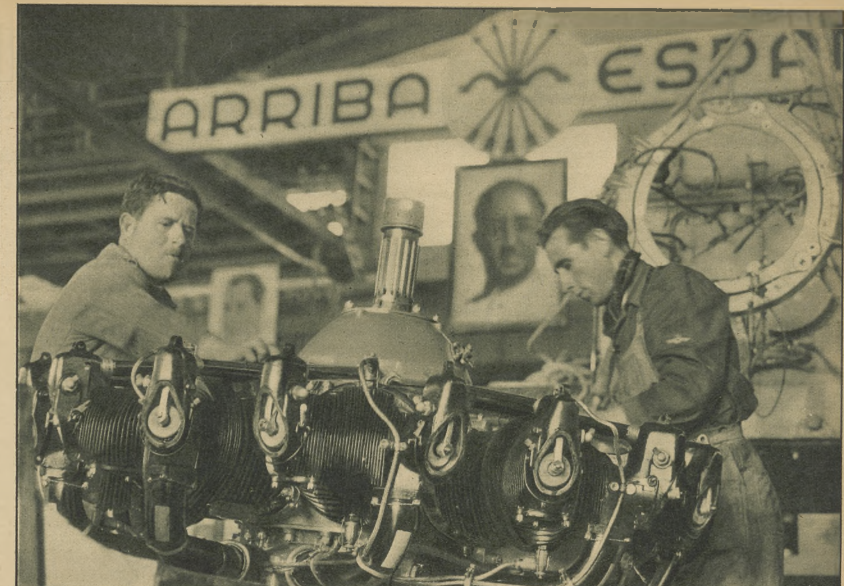
Po zakonczeniu woiny domowej zdała sobie Hiszpania odrazu sprawę, że w przyszłości wprowadziwszy ład do swojego kraju zadanie jej będzie polegaćprzede wszystkim na ugruntowaniu stanowiska politycznego a w takim razie musi Hiszpania w celach choćby tylko defensywnych posiadać silną broń lotniczą. Przystąpiono więc do stworzenia nowoczesnego lotnictwa zakładając specjalne szkoły pilotów tworząc własną krajową produkcję samolotów i ulepszając z roku na rok tę ważną broń.

Zdjęcia nasze przedstawiają nam różne sceny z życia lotników hiszpańskich zarówno z ich szkoły w Xeres jak z czasu ćwiczeń gimnastycznych odbywanych pod kierownictwem szwedzkich instruktorów jak w końcu z warsztatów mechanicznych. Widzimy więc młodych ludzi pełnych zapału oddających się z zamiłowaniem skomplikowanej nauce lotniczej. Większość z nich studiuje w szkole dla pilotów w okolicy Sewilli, po której skończeniu młodzi ludzie w wieku od 18—22 lat przechodzą do lotnictwa wojskowego. „Escuela de Pilotos" w okolicy Sewilli jest obecnie kolebką młodego hiszpańskiego lotnictwa, które już podczas wojny domowej wykazało w wielu wypadkach, że posiada dzielnych oficerów mogących postawić je na odpowiednim poziomie.

Duży samolot lotnictwa hiszpańskiego płynie majestatycznie nad Sewillą.



Przy karabinie maszynowym.



Przy montowaniu silnika w warsztatach szkoły.



Nauczyciel udziela wskazówek swoim uczniom przed wyruszeniem w przestworza.



Lotnik hiszpański przygotowuje samolot myśliwski do startu.



Podczas wykładu: Ważny podręcznik do nauki pochodzi z pióra znanego lotnika hiszpańskiego Garcia Morato.



Po ćwiczeniach i nauce miło zasiąść jest do posiłku, zwłaszcza jeżeli można zrywać smaczne owoce prosto z drzewa.







Powyżej: Wiele godzin poświęcają uczniowie „Escuela de Pilotos" ćwiczeniom gimnastycznym.

W kole: Nauczyciel wyjaśnia swoim wychowankom na małym modelu tajniki akrobacji powietrznej.

Na prawo: Uczniowie szkoły pilotów wyruszają na ćwiczenia w pole.

Fot. Ass. Press



Nauczyciel zwraca uwagę swoim uczniom na błędy popełnione podczas lotu przez jednego z kolegów.



18. października

Trudno mi przypomnieć sobie dzisiaj wszystkie szczegóły. Ta noc na 18. była jeszcze gorszą, niż ta przed czterema dniami. Nie wróciliśmy do domu. Czekaliśmy w pobliżu hotelu Dorchester mając nadzieję, że będziemy mogli posunąć się dalej. Drzwi do jakiegoś domu stały otworem. Ale nie weszliśmy. Miałem wrażenie, że pierwsze bomby zaczęły spadać na południu, pomiędzy Vauxhall-Bridge i Queensroad Station. Przy szopie kolejowej za Vauxhall Bridge zaczęły pokazywać się płomienie. Doszliśmy właśnie do Hyde Parku. Ciężkie baterie wyrzucały swój ciężki ładunek w powietrze aż ziemia się pod nami uginała. Przypominam sobie jeszcze, że Ed powiedział, żebyśmy doszli do baterii, tam będziemy bezpieczniejsi niż gdzieindziej. Ale park był zamknięty zasiekami i zaporami i z pewnością strzelano by do nas.

Potem noc stała się nagle jasna. Było to tak, jak by podniesiono kurtynę w teatrze. Miasto było obramowane czerwonym płomieniem. Olbrzymie budynki, które stały pomiędzy nami i Tamizą, wynurzały się z mroku i zdawały się rosnąć z każdą chwilą. Czworokątny pałac Buckinghamski przed nami wyglądał na bardzo opuszczony i był też prawdopodobnie opuszczony. Na lewo od niego na dalszym planie, jak głęboka galeria, opactwo Westminster i okrągła, garbata sylwetka dworca Victoria. Zdawało się, że Londyn chce się jeszcze raz wznieść ze starymi i nowymi duchami, aby potem umrzeć.

Teraz ziemia zadrżała i nie były to już armaty za nami. Blask ognia wskazał nieprzyjacielowi cel, i teraz zaczął on się zbliżać grupami od wybrzeża. Nigdy nie przypuszczałem, że tyle samolotów może równocześnie znajdować się na niebie na tak małej przestrzeni. Musiało ich być chyba z pięćset o ile nie więcej. Ich warkot brzmiał jak delikatna muzyka w porównaniu z basowymi tonami eksplozyj na ziemi.

Ale my prawie już nic nie słyszeliśmy, czuliśmy jedynie całym ciałem, że te wstrząsy coraz bardziej się ku nam zbliżają. Drżenie ziemi szło w naszym kierunku na północ. Najpierw zaczęły strzelać baterie w Battersea Park, na prawo od terenu zaatakowanego. Granaty eksplodowały w powietrzu jako srebrne punkciki. Od czasu do czasu strzelały także małe działka, wysyłając deszcz iskier jakby na cienkich sznurkach przyczepionych, ale nagle wszystkie zamilkły. Można było widzieć jedynie płomienie, strzelające z gazowni pomiędzy Vauxhall i Chelsea Bridge. Za nią leżały szopy kolejowe, które już częściej zostały trafione. Naprzeciw nas na naszym brzegu Tamizy składy wojskowe. Pożar i wybuchy szły właśnie z tej strony, tak jakby wulkan zaczynał działać. W międzyczasie przeskakując ciągle z domu do domu posunęliśmy się aż do Picadilly. Z powrotu do domu zrezygnowaliśmy. Na środku ulicy spadła na dachy bomba zapalająca. Żar trawił tutaj wszystko powoli. Blask ognia bladł dopiero po drugiej stronie Tamizy. Wszystko wyglądało tak, jakby na dachach zostały pozatykane migotliwe chorągiewki, które raz gasły, to znów rozszerzały się jak płonące dymiące gąbki.

— Chodź — mówi do mnie Ed ochrypłym głosem. Powietrze było tu niedobre, proch pomieszany z dymem i pyłem wapna, a wszystko to osadzało się w gardle. Przyglądaliśmy się temu z jakiejś wnęki. Pomruk oddalał się od nas. Uważaliśmy na świst bomb i cienki gwizd granatów, które szły w górę. Na końcu Regent Street lub Trafalgar Square musiał spaść cały deszcz bomb.

— Patrz — woła Ed i wskazuje ręką na potok wody, który się zbliżał do nas rynsztokiem, wyrwawszy się z kanału pod wpływem wstrząsu lub też uderzenia. — Chodź! zgiąwszy się wpół, skoczyliśmy naprzód. Wpadliśmy prosto do leja na końcu ulicy.

— Mamy iść dalej? — szepnąłem do Eda. Nie wiem dlaczego mówiłem szeptem.

— Dalej — rzekł on. Przycisnęliśmy się do ściany. Właśnie chcieliśmy skoczyć naprzód, kiedy wstrzymał nas pęd powietrza. Tego huku już nie słyszeliśmy, poczuliśmy jedynie, że impet wybuchu pędził przed sobą stłoczone powietrze jak ścianę, poczuliśmy, że porywa on nas i rzuca w powietrze. To jeszcze czuliśmy.

Obudziłem się z zimna. Dokoła mnie jest wszędzie mokro. Drobny, delikatnie dzwoniący deszcz pada. Wśród tego oszołomienia słyszę go jak przytłumioną muzykę. Są to szczątki szrapneli, które spadają z powietrza. Teraz poznałem swoje położenie. Leżę w tym strumieniu, który płynął rynsztokiem. O dziesięć metrów dalej widzę jakąś ciemną masę. Jest to Ed. Obracam się powoli i rozprostowuję członki. Wszystko całe. A mimo to nie mogę powstać. Ed stracił przytomność. Ale nie widzę na nim śladu rany. Nie wiem sam, jakim cudem pociągnąłem go dalej. Przez stare i nowe leje bombowe. Przedtem były nasze ubrania jeszcze całe, nawet wtedy jeszcze, gdy znalazłem Eda. Ale teraz wlokę go poprzez szkło i śmiecie, to znowu przez ten sztuczny strumyk z połamanej rury wodociągowej, który w tym miejscu zajął już szerokość pół ulicy i potworzył małe stawki i bajora, gdyż nie mógł odpłynąć. Grzmot a z nim błyskawice i płomienie posunęły się naprzód razem z nami. Dom, w którym stanęliśmy po raz pierwszy był rozpruty. Oglądnąłem się jeszcze raz. W dogorywającym świetle pożaru stał tam już tylko pusty cień. Dom rozpadł się. Mimo że wlokłem Eda dobywając wszystkich sił i mając nerwy napięte, byłem wewnętrznie bardzo znużony. Poprzysiągłem sobie, że będzie to ostatnia noc. Poco ja tu właściwie siedziałem? Z żądzy przygód? Miałem ich już dość. Aby pomóc ratować miasto? Widziałem jedynie to, że co dzień było gorzej i że to, co nazywa się rządem było może najbezsilniejsze. Jakkolwiek tu i tam widać było płomienie, nie było widać nigdzie pomocniczej straży pożarnej. Żadnego ambulansu. Nikt nie pomagał. Kto leżał pod spodem był pogrzebany. Wszystkie siły skupiły się z pewnością nad Tamizą, przy szopach kolejowych i składach wojskowych.

Wlokłem dalej Eda. Woda go ochlapała. Otworzył trochę oczy. Widziałem, że poprzez jego spuszczone powieki i grubą warstwę kurzu i wody przedzierał się jednak jego szelmowski uśmiech.

— All right — powiedział i podniósł nieco głowę, jakby chciał mnie o co zapytać.

— All right — odpowiedziałem.

Było może jeszcze z dziesięć kroków do wejścia do kolei podziemnej. Nikt stamtąd nie wychodził. Nikt nie wyglądał, nikt nie mógł pomóc. Grzmot nad nami zdaje się odwrócił się i wracał. To dodało mi nowych sił. Ciągnąłem więc dalej. Za chwilę byliśmy już tam. Tu Ed odzyskał nagle przytomność. Wyprostował ręce i nogi, wygiął po mistrzowsku całe ciało tak jak to czynią clowni w cyrku i podniósł się ostrożnie na nogi. Poszliśmy po schodach wdół. Na dworze był już czerwony zmierzch, tu zaś było ciemno. Jakieś pojękiwania dochodziły z głębi. Przywleczono tu — niewiadomo skąd — jakiegoś żołnierza, który miał strzaskane nogi. Leżał tam pomiędzy dwoma ludźmi na stopniach. Był to jedyny pozostały przy życiu żołnierz z grupy, która została zasypana tuż obok swojej baterii.

— Doc! — zawołał ktoś z podziemi. — Czy nie ma tutaj doktora?

Nie było doktora. Pomiędzy tymi tysiącami, które tutaj od 6 tygodni nocowały nie było lekarza, ani sanitariusza. Nawet skrzynki z opatrunkami lub też czymkolwiek potrzebnym w takich razach. Wszystko to co rozgłaszały gazety i rząd było kłamstwem. Nie było tu żadnego pogotowia, żadnej pierwszej pomocy w tych piwnicach, gdzie tysiące nocowały.

Obaj ludzie trzymali rannego jak umieli. Im głębiej schodziliśmy, tym mniej słyszeliśmy huk z powierzchni ziemi. W tej chwili zrozumiałem ten potężny zwierzęcy instynkt, który kazał ludziom wchodzić do tej podziemnej klatki, gdzie było cicho i ciepło, i gdzie mieli pewność że było jeszcze życie. I że tam u góry nie byli oddani na pastwę tego piekła. To był sposób uchronienia się przed załamaniem. Przed szokiem bombowym, jak to się nazywa. Prawie wszyscy tutaj już go tak doznali, jak my dzisiaj, bez tego, że bomby w nas uderzyły. I teraz spali. Widziałem całą masę tych śpiących ciał. Jak polip o tysiącu mackach rozłożeni byli na dole na tym bruku kamiennym. I spali. Ułożyliśmy się na stopniach i spaliśmy też.

Sobota, w domu

Schron jeszcze istnieje, a nawet cały dom. Ale miasto zdaje się być zniszczone w jednej czwartej. Pionierzy znowu uprzątają, podając gruz dalej rękami i zbierając cegły, ponieważ rząd chce pobudować z nich schrony. Znowu chce, ale kiedy?

Słupy dymu unoszą się jeszcze jak czarne języki w zamglonym powietrzu. Zaczynam rozumieć teraz podania starożytne. Szliśmy przez ulice jak korytarzami Hadesu. Wszystko jest blade: twarze, domy bezbarwne, zimne, zadymione powietrze. Gdzie jest Peggie? Chciałbym ją znaleźć. Chcę z nią wyjechać. Rozmawiam telefonicznie z Edem. Mówi on, że dobrze zrobię. Jest to więc tylko jeszcze kwestią dni. Nie możemy wiele przekazywać telegramem. A doświadczenia mamy dość na całe życie. Chcemy życie jednak jeszcze kilka lat utrzymać. Ed umył się, ogolił, wypił nawet kawę z naszych zapasów, zapalił papierosa i dopiero wtedy zobaczyłem, że papieros drży mu w rękach. Zalecił mi, żebym jednak pod koniec tygodnia pojechał do lorda Eltona na wieś. Elton ma dwór w Kent. Być może jest ten dom już pełny. Ale jeden z nas jest tam zawsze mile widziany. Czekam jeszcze na Peggie. Uspokoiłem się trochę, gdyż właścicielka owocarni, która posługuje się popołudniu naszym telefonem, przysłała do mnie, że ma wiadomość. Nie wiem od kogo i skąd, ale odtąd jestem spokojniejszy.

Godzina 10 wieczorem

Chcemy jeszcze dzisiaj wieczorem wyjechać. Ale nie możemy wydostać się z miasta. Auto Eda stoi w jakiejś szopie za Elephant Station, jeżeli ta szopa jeszcze stoi.

Peggie jest zdumiona, ale cieszy się na wyjazd na niedzielę. Tę straszną noc przebyła lepiej niż my, w rodzinie portjera obok tego domu, w którym chciała kiedyś urządzić obóz masowy. Dokoła zostało wiele zburzone, ale najbliższe sąsiedztwo pozostało całe. Tylko woda grozi zalewem piwnic. Nasze hełmy stalowe zginęły. Peggie zabrała ze swojej kuchni dwa garnki aluminiowe i z tym wychodzimy.

20. października

Siedzę we dworze w pokoju, który ma odpowiednie rozmiary. Pokój ten należał przedtem do jakiegoś akcjonarjusza Zakładów Morrisa. Peggie udała się właśnie na spoczynek. Odprowadziłem ją na korytarz i podałem jej rękę. Teraz siedzę w pokoju. Tam mała kanapka, tu stół. Okna zaciemnione są zieloną adamaszkową kapą. Kiedy ją unoszę, widzę wśród nocy reflektory wędrujące po niebie, te szukające, niebieskie palce świetlne, które dotykają gwiazd gasnąc chwilę potem.

Postanowiłem opuścić ten kraj i w tej chwili jest mi bardzo przykro. Ale to nie jest mój kraj, i nie wiem nawet, czy ci ludzie tutaj mają prawo nazywać ten kraj swoim. Siedzą oni jeszcze na dole i gryzący zimny dym z papierosów przechodzi po schodach aż do mnie.

Ci ludzie doprowadzili Anglię do tego czym teraz jest. A także do wojny. Przedtem tego nie wiedziałem. A teraz o tym mówię. Dwa razy gdy tu przyjeżdżałem na wieś podziwiałem ten spokój, z jakim ci ludzie kryją się przed wojną. W Sevenoaks była to tylko ciemnota wieśniacza, w Greenfield, gdzie byłem razem z Danielsem, spryt kupiecki, tu zaś... tu był cocktail.

Kiedy Pristley wyprowadził się przed dwoma tygodniami z Londynu i przybył do pierwszych pensjonatów, gdzie schronili się bogacze londyńscy przed bombami, i kiedy bez przesłonek opowiadał w radio jak oni się tu bawili i o siebie troszczyli, utracili go ci ludzie. Tego ostatniego zabawnego speakera palącego się Londynu.

Z początku byliśmy, Peggie i ja, oszołomieni. Wygłodzeni w mieście, ogłuszeni hukiem bomb, rzuciliśmy się ślepo w te rozrywki. Poraz pierwszy tańczyliśmy znowu, długi oszałamiający taniec. I zawsze obok tych dwóch starych ciemnych szaf, które w tym transie wydawały mi się jak ten rozpruty dom, od którego przechodząc ulicą należy się odsuwać z obawy, by nie runął na nas. Ale potem to przeszło. Siedzieliśmy i wszystko wydało się nam jarmarkiem.

— Be a sport, wake up — bądź wesoły, nie psuj nam zabawy, zbudź się. — Wołali wszyscy na przemian. Nakręcono gramofon. Tony podobne do tonów kobzy i gwizdy. Jak się oni wszyscy nazywali? Judge Griffith, młody lord Yarmouth, Fred Vandenberg, Lilly i dziewczęta. Nie znałem ich i nie zapamiętałem ich nazwisk. Lilly miała być tego roku przedstawiona u dworu, była to jedna z tych dziewczyn, które chcą sobie wytańczyć płuca, zanim znajdą męża. Czy był to tylko nierozsądek młodości? W kącie siedział jakiś stary wuj.

— Niech nam pan powie — zaczął, gdy Peggie i ja usadowiliśmy się w dwóch obok stojących fotelach — Jak wygląda w Londynie? Pan przecież przyjechał stamtąd?

— Źle — mówię.

— Aha, więc jednak źle... dlaczego?

— Nie ma nic do jedzenia. — mówię.

— O, nic do jedzenia, tak, tak.

— I nie mają gdzie spać. — Postanowiłem sobie być zawziętym.

— Nie mają gdzie spać, aha... hm... przerwa — Dlaczego nie ewakuuje się całego Londynu?

— Ponieważ mają zostać i pracować.

Taniec się skończył. Pary dokoła nas stanęły. Jakaś młoda dziewczyna, której włosy podniesione były w górę na sposób paryski, i ozdobione czerwoną wstęgą, wyglądająca jak uosobienie niewinności, wmieszała się do rozmowy — Alez panie... panie... panie Thomson, wszyscy ci, którzy nie są niezbędni mają być ewakuowani.

— Dokąd? — pytam.

— Na wieś.

— Czy pani przyjęłaby jeszcze kogo?

Nie była tym wcale zmieszana. — My nie. U nas jest przecież wszystko zajęte, prawda, ale gdzie indziej.

— Wszędzie jest zajęte.

— Oh, don't make this miserable face, sir — proszę nie robić takiej nieszczęśliwej miny. — powiedziała i złożyła przedemną ręce. Cała sprawa zajmowała ją tylko przez pół. Ktoś założył nową płytę. Taniec szedł dalej.

— Extraordinary ordeal — zaczął stary wuj. To jest niezwykła próba, ale nie zostaniemy bez pomocy Ameryki.

Czy on nie poznał mojego akcentu i czy nie wiedział, że jestem Amerykaninem? Ale ja nie wyprowadzałem go z błędu. Tęsknota za moim krajem, tęsknota do obcej pomocy, kredytów, wojsk, okrętów. Ciągle to samo. Zaczynałem odczuwać wstręt. Gdyby chociaż byli przygnębieni, gdyby chociaż walczyli. Może nie byłoby mi to przyszło na myśl. Wczoraj dekorowali znowu polskich lotników. Jutro może norweskich. De Gaulle'a, tego dziwacznego literata w mundurze oficera posłano poraz drugi do Afryki. Jak powiadam, odczuwam wstręt. Ciągle tylko inni. Zawsze ktoś z zewnątrz. Tylko oni sami — nie. Pewnie jest źle w Londynie — tak się oni pytali i tańczyli dalej. Myślę nad tym, czy też nasi ojcowie w czasie wojny domowej powędrowaliby na wieś, aby się tam bawić, podczas gdy kraj płonie.

Zdaje się, że teraz tam na dole kończą. Słyszę brzęk naczynia. Pary idą na górę do bocznego skrzydła. Schody trzeszczą, drzwi się otwierają. Mają prawo do swej młodości. Zawsze jeszcze. Tutaj zawsze jeszcze. W Londynie zaś mają prawo umrzeć. To dopiero jest demokracja, która stworzyła legowisko dla mas w kolei podziemnej a dzie-

ciom lordów zabezpieczyła ich życie i ich przyjemność na majątkach. W tej chwili słychać wyraźnie brzęczeni samolotu. Nikt się nie rusza. Zdaje się im, że nie dotyczy to ich, nawet gdyby to miał być Niemiec. Byłby to przypadek, gdyby tutaj zrzucił bombę. On może mieć na myśl tylko masy londyńskie.

Środa

Mam już paszport i wszystkie stemple. Mam też bilety a nie wiem, czy będę mógł zabrać Peggie i gdzie ją znajdę.

Ed nie chce jechać z nami. Nie może w tej chwili, jest chory. Teraz leży w pokoju odizolowanym, który urządzili w Admiraly Arch. Nie jest to bezpieczny dom chorych. Niemcy lubią to sąsiedztwo ministrów.

Sobota

Zabrali Eda do jakiegoś wielkiego szpitala, być może nawet go wywieźli z jakim pociągiem sanitarnym. Nikt tego nie wie. Farewell, Ed. A może „do widzenia". Peggie obiecała przyjść. Jutro odlatuje samolot.

Niedziela

Mam miejsce i paszport. Przez naszego konsula generalnego otrzymałem także pozwolenie dla Peggie. Jest ona równocześnie z deklarowana jako kurier. Pojedzie chociaż jest Angielką. Nie chcą mi pozwolić zabrać pieniądze. Jest mi to w tej chwili, kiedy już wyjeżdżamy, obojętne.

Poniedziałek

O jedenastej odlatuje samolot. Od wczoraj południa nie mam o Peggie żadnej wiadomości. Czyżby się co stało? Czekam. Nasz telefon nie funkcjonuje. Czekam jeszcze i gryzę sobie wargi do krwi z napięcia. Jest to najgorsza godzina w moim życiu. A miała się stać najszczęśliwszą.

Poniedziałek, godzina 10

Nie ma jej. Biegałem tu i tam. Do Toynbee Hall nie dochodzi drut. Nadałem telegram do konsula generalnego, aby przesunął wyjazd dla niej. Nie wierzę już w nic. Atak lotniczy. Muszę już wyjść.

Na lotnisku. Moja ostatnia nadzieja. Ale nie, — nie ma nikogo. Dwaj ludzie z poselstwa chilijskiego, sekretarz ministerstwa finansów, który jedzie do Nowego Jorku w sprawie amerykańskiej pożyczki, jakaś diva filmowa, która jedzie aby zrobić sobie reklamę w Ameryce, pułkownik lotnictwa. Miejsce obok mojego jest puste. Można oszaleć. Już zamyka się drzwi. Motory puszczone w ruch. Stój, stój... teraz toczymy się już przez pole, z oszałamiającą szybkością zbliżamy się do oplotowania. Gdyby nas zatrzymało...

Wzbijamy się wysoko.

Odlatujemy z Londynu.

Koniec

TRZEJ GENERAŁOWIE BRYTYJSCY JAKO JEŃCY W DRODZE DO NIEMIEC

Jak podała naczelna komenda niemieckich sił zbrojnych w dniu 10. kwietnia 1941 zostało wziętych do niewoli podczas zdobywania Derny w Cyrenaice sześć generałów angielskich. Na zdjęciu naszym widzimy trzech z tych generałów, którzy zostają przewiezieni do Niemiec samolotem typu Ju 52, podczas lądowania w drodze.

FOT. ASS. PRESS



WŁOSKIE ŁODZIE ATAKUJĄCE NA JEZ. OCHRIDA Łodzie te zostały przydzielone na front włosko-jugosłowiański a miały za zadanie przeszkodzić w połączeniu się greckich i jugosłowiańskich sił bojowych na tym odcinku frontowym.



OD 1828 ROKU

MŁYNEK

jest od dawna godłem związanym z kawą, a zarazem jest to znak powszechnie lubianej domieszki do kawy, mianowicie tej, która pochodzi z fabryki FRANCK pod Krakowem.

Także w czasach obecnych każda paczka, opatrzona młynkiem i nazwą FRANCK, jest równie dobra jak dawniej.

Staramy się wszelkimi siłami dostarczać naszej domieszki w ilości, jakiej Szanowni Odbiorcy się domagają, lecz zapotrzebowanie dzisiaj tak wielkie, że nie zawsze możemy mu podołać.

Jeżeli jednak otrzymacie paczkę ze znakiem młynka, to przekonacie się, że jej zawartość w niczym nie uległa najdrobniejszej nawet zmianie i to spodziewamy się, nagrodzi wasze zaufanie.

Henryka Francka Synowie S.A.

SKAWINA POD KRAKOWEM

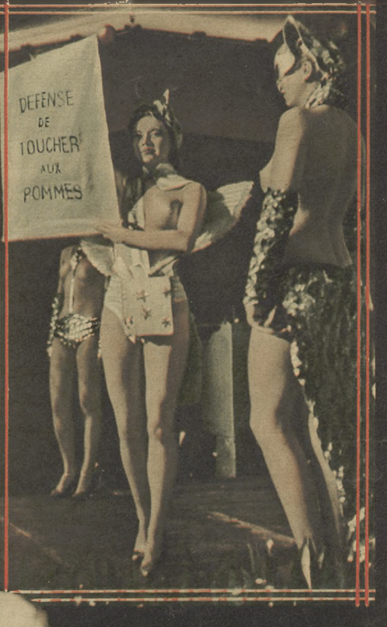
Paryż się bawi...



Jeżeli Paryż nazwano miastem świateł, to jedno z jego przedmieść, słynne Montmartre, zasługuje na nazwę miasta rozkoszy. Nietylko w czasie pokoju, ale jak się okazuje również w czasie wojny nie brak Paryżanom humoru, skoro w dalszym ciągu istnieją tam liczne music-halle i różnego rodzaju nocne lokale dające swoim gościom wspaniałe widowiska. Zaprawione są one oczywiście specyficzną pikanterią, która w Paryżu doczekała się najbardziej artystycznego ujęcia. Wszystko jedno zresztą czy chodzi tutaj o słynny „Tabarin" czy o „Cabaret du Ciel" czy też „La Lune Rousse" wszystkie one były lub też są przybytkami w których panuje wyłącznie kobieta we wszystkich swoich przejawach począwszy od kobiety-anioła, a skończywszy na kobiecie – diablicy. Cokolwiek by można zarzucić tym przedstawieniom z takiego czy innego punktu widzenia, trzeba przyznać, że pod względem artystycznym są świetnie obmyślone i fascynują ludzi, którzy łatwo zapominają o wojnie.



Irene de Trebert wita zgromadzoną publiczność. Artystka znajduje się w kole mającym przedstawiać tarczę telefoniczną.



Dwie urocze artystki w stroju anioła anonsują rewię paryską. Na afiszu powiedziane jest: „Nie wolno dotykać jabłek".

Powyżej: jeden z numerów rewii przedstawia nam swoiste „niebo", w którym z obłoków wynurzają się piękne kobiety.



Ostatni obraz rewii „Raj odzyskany" ukazuje publiczności najprzystojniejsze artystki w strojach nieco..... negliżowych.



Jedna z artystek w roli „naiwnej": Oto „naiwna" z profilu.

Fot. Mauritius



Po lewej: Adam i Ewa w ujęciu paryskiej rewii.



A tu oto „naiwna" z tyłu.



„Kobiety i klejnoty": o ile klejnoty są napewno fałszywe, o tyle to samo można powiedzieć o kobietach.

PERŁY baronowej Kolmanyi



3. ciąg dalszy

NAPISAŁ: HENRYK LELIWA

*) Ostatni odcinek kończył się:

Wanda weszła do pokoju tancerza, dodając sobie kontenansu dumnie wzniesioną głową.

René leżał blady na tapczanie i czytał książkę. Lekkie „aaa!“ wyrwało się z ust tancerza na jej widok. Opanował się jednak szybko, poprawił kołdrę, a na usta jego zawitał ironiczny uśmieszek.

— Czemu mam przypisać zaszczyt i honor widzieć w swoich skromnych progach panią baronową Kolmanyi?... A może przyszłaś, żmijo jedna, zobaczyć, jak na mnie poskutkowała twoja strychnina? — dodał jadowicie.

— Strychnina?! — Wanda zdawała się szczerze zdziwiona — Nie wiem doprawdy o czem pan mówi? Ale nie mam czasu na długie wstępy! — dodała energicznie — Byłam wczoraj szalona! Przynosze dziś ze sobą książeczkę czekową! Ile pan żąda wzamian za naszyjnik?

Na widok książeczki czekowej, którą Wanda wyjęła z torebki zamglone oczy tancerza zabłyszczały dzikim ogniem.

— Bardzo mądrze zrobiłaś, że chcesz mi dać pieniędzy. Mam tu u siebie pewną fotografię...

— Fotografii tej już nie masz! A więc ta mała pracuje na własną rękę!... — wyrwało się z ust Wandy.

René począł gorączkowo szukać po kieszeniach swej marynarki, która wisiała przewieszona na krześle obok tapczanu.

Wargi jego poczęły miotać ohydne przekleństwa.

— Szkoda się denerwować! Proszę wpłynąć na tę Anitę żeby mi oddała naszyjnik a nie poskąpię panu pieniędzy...

— Pieniędzy i tak dostanę kochanie!... Co do tamtej transakcji to mogę się jej ewentualnie również podjąć. O ile ci wiadomo pieniędzmi nigdy nie gardziłem...

— Dobrze! Dobrze! Ile chcesz? — Wanda w zdenerwowaniu przeszła na ty.

— Teraz mi się moja Wandeczka zaczyna podobać! W ogóle muszę ci powiedzieć żeś się nic nie zmieniła... Bardzo fajna z ciebie kobietka! — spróbował poklepać ją po kolanie, ale Wanda usunęła się z obrzydzeniem. — No, no! Nie musisz być znowu taka wrażliwa! Ale nie chcesz to nie! Przede wszystkim dasz mi 10 tysięcy koron czeskich na drobne wydatki a potem porozmawiamy dalej...

Wanda wypisała czek w milczeniu i rzuciła mu go na kołdrę. Teraz zabierała się już do odejścia, ale zatrzymał ją jeszcze groźnym tonem.

— Tylko żadnych kawałów ze strychniną ani tym podobnych!!... — zasyczał jej nagle jego głos, a jeżeli nie będziesz mi dawała pieniędzy to sprzątnę ci twego mężulka!!...

— Nie!... — Jęk wyrwał się z jej krtani.

— A mnie to mogłaś chcieć zamordować!!!

— Ależ to nie ja... To nie ja ciebie otrułam tym jakimś koniakiem! — Wanda wypadła na korytarz, jakby ją kto gonił.

René chwilę patrzył za zamykającymi się drzwiami. Czyżby ona mówiła prawdę? Kto w takim razie chciał się go pozbyć? Czyżby Parker, od której tyle pieniędzy wyciągnął?... René uśmiechnął się a w jego oczych zapaliły się złe błyski... Czek przyjemnie zaszeleścił w jego rękach... Niech płacą, psiakrew!!... Tancerz oddał się swoim rozmyślaniom...

Wanda schodziła nadół z bijącym sercem... Więc jej ukochanemu Stefanowi może grozić niebezpieczeństwo od tego potwora!... Za nic do tego nie dopuści!

W pokoju oczekiwała ją Irma.

— Jak to dobrze, że cioteczka już zebrana, wybieramy się trochę na spacer. Nie znam jeszcze zupełnie Karlsbadu!...

Wanda zgodziła się choć niechętnie. W halu czekał na nich Stefan. Był w o wiele lepszym nastroju. Z jego twarzy znikł zupełnie niepokój. Nocny telefon do Wiednia dał doskonałe rezultaty... Teraz objął zakochanym wzrokiem swoją żonę.

— Jak to dobrze, że ci te wszystkie irytacje ze złodziejami nie zaszkodziły! A co do naszyjnika się nie martw! Nasz dzielny detektyw Blitz już go odnajdzie! A teraz nie psujmy sobie humoru! Zapraszam was na małe śniadanko!

— Gdzie jest Leon? — wyrwało się Irmie.

— Twój narzeczony wyszedł na miasto. Ma jakiś okropnie ważny sprawunek sobie załatwić... — odpowiedział jej Stefan z uśmiechem. — Podobno stała się wielka tragedia! Wyobraźcie sobie, że on nie wziął ze sobą ani jednego krawata do brązowego ubrania!...

Kobiety uśmiały się serdecznie. Obie znały przesadną elegancję wymuskanego blondyna.

Hotel Imperial jest położony na niewysokim wzgórku i dla wygody gości wybudowano kolejkę linową, która zjeżdża wprost w centrum Karlsbadu. Rozbawiona trójka wybrała ten sposób lokomocji.

— Jak to przyjemnie rozkoszować się tą podróżą zachwycała się Irma.

— Jeżeli ci taka jazda sprawia przyjemność, to musimy się kiedyś wybrać na Freundschaftshöhe na podwieczorek! Tam też jest kolejka linowa, tylko o wiele dłuższa!

W doskonałym nastroju wylądowali w Karlsbadzie tuż koło kolumnady słynnych wód Sprudla.

Ruch o tej porze był olbrzymi. Kuracjusze z całego świata, z szklankami gorącej wody przechadzali się tam i napowrót. Słyszało się wszystkie języki. Panie w powiewnych sukniach i najmodniejszych kapeluszach przypominały przy tym wystawę jubilerską. W Karlsbadzie nosi się biżuterię od samego rana. Irmę entuzjazmowało to wszystko! Nie była jeszcze nigdy w żadnym z wielkich miejsc kąpielowych. Jej czarne oczy błyszczące podnieceniem zwracały na siebie uwagę...

W tem Irma zauważyła, że ktoś idzie za nimi!... Jakiś przystojny wysportowany, młody szatyn o jasno niebieskich oczach dyskretnie szedł za rozbawioną trójką, przyczem zdawało się jej, że nieznajomy nie spuszcza z niej oczu...

Stefan zaproponował żeby przejść na drugą stronę rzeki, na najelegantszą ulicę Karlsbadu Alte Wiese, gdzie o tej porze odbywało się już „korso“. Irma oglądnęła się nieznacznie i zauważyła, że nieznajomy ruszył za nimi... Co za zuchwałość! Irma była oburzona!... Inna rzecz, że ten młody człowiek był bardzo przystojny...

Dochodziła już pora drugiego śniadania i całe towarzystwo zasiadło na tarasie kawiarni jednego z największych hoteli. Nieznajomy zajął stolik obok! Tego było jednak Irmie za wiele! Byłaby mu teraz najchętniej wydrapała te szelmowsko uśmiechające się jasne oczy!...

— Wyobraźcie sobie, że jesteśmy śledzeni! — wypaliła wreszcie dość głośno, aby tamten mógł usłyszeć.

Stefan drgnął. Cały beztroski nastrój prysnął jak bańka mydlana.

— Zdawało ci się pewnie, moje dziecko! — wypowiedział siląc się na obojętność.

— Albo poprostu masz powodzenie — dodała beztrosko Wanda, która również zdążyła zauważyć młodego człowieka.

Stefan zapragnął zapalić papierosa by uspokoić nerwy. Wyciągnął papierosa z pięknej złotej papierośnicy, włożył go do ust i potarł zapalniczkę. Ale zapalniczka w żaden sposób nie chciała się zapalić.

— Może pan pozwoli, że podam ognia? — nieznajomy stał usłużnie z zapaloną zapalniczką. Mówił powoli, dziwnie śpiewnym akcentem.

Na dźwięk tego głosu twarz Stefana rozpogodziła się zupełnie, a kąciki ust zdradzały rozbawienie. Więc to ten go „śledził“...

— Bardzo panu dziękuję! Jest pan doprawdy niezwykle uprzejmy! — Stefan zapalił papierosa. — Jestem Kolmanyi! — przedstawił się obcemu.

— Żarkow — rzekł nieznajomy.

— Może pan pozwoli do naszego stołu! — zaprosił go niespodzianie Stefan. — Widzę, że nie ma pan narazie towarzystwa, a w Karlsbadzie istnieje zasada, że im więcej osób, tym weselej...

Obcy skorzystał z zaproszenia ze swobodą światowca. Przedstawił się obu paniom i wnet nawiązała się miła towarzyska rozmowa.

— Pan jest zapewne Rosjaninem — zagadnęła go Wanda.

— Tak, proszę pani. Ale rodzina moja przeniosła się już przeszło 20 lat temu do Wiednia.

— Pewnie jaki zbankrutowany książę — pomyślała Irma. Niewiadomo dlaczego czuła się dziwnie zdenerwowana w obecności Żarkowa. Przemyśliwała nad tym, jakby temu młodemu człowiekowi dokuczyć.

— Jaka szkoda, że nie ma tu Leona! Mój narzeczony — podkreśliła to słowo — umie kilka słów po rosyjsku...

Rosjanin drgnął, jakby czymś nieprzyjemnie dotknięty, ale opanował się natychmiast. Więc ta ognista brunetka miała narzeczonego!... Trudno!

— Bardzo bym pragnął poznać tego szczęśliwca, który zasłużył sobie na pani względy! — wypowiedział obojętnym tonem.

— O, zdaje mi się, że tam idzie! — zawołała Wanda.

W tłumie przechadzających się po „Alte Wiese“ kuracjuszy mignęła rzeczywiście jakaś sylwetka platynowego blondyna, ale w następnej chwili zakryli go inni, tak, że nie można było być pewnym, czy to rzeczywiście był on.

— To nie mógł być Leon, bo byłby musiał przecież zobaczyć! — tłumaczyła Irma.

W tej chwili zauważyli w tłumie detektywa Blitza, który szedł z jakąś bardzo wyelegantowaną damą. Po ustach Wandy przewinął się dziwny uśmiech. To była przecież Anita! Detektyw rzeczywiście nie tracił czasu w poszukiwaniu za perłami!... Anita zauważyła ich, szepnęła coś swemu towarzyszowi i detektyw ukłonił się w stronę stolika.

Stefan na widok tej pary przypomniał sobie sprawę naszyjnika i postanowił po obiedzie rozmówić się z detektywem. Tymczasem Żarkow począł wesoło flirtować z Irmą. Ten młodzieniec zyskiwał stanowczo przy bliższym poznaniu. Okazało się, że jest bardzo kulturalnym i inteligentnym człowiekiem. Irma zachodziła w głowę, jaki też może być jego zawód, ale on zawsze zręcznie unikał tego tematu.

Towarzystwo miało już wyruszać w drogę powrotną, gdy do ich stolika doszedł młody posłaniec trzymając w ręku kopertę.

*) *W dzisiejszym numerze cofamy się jeszcze raz do rozdziału V-tego „Noцy tancerz“, gdyż z powodów od nas niezależnych zaszła w odcinkach powieściowych pomyłka.*

— Czy to pan baron Kolmanyi? Wskazano mi ten stolik z ulicy...

Stefan wziął list od chłopca.

— Kto ci wskazał mój stolik?

Ale chłopiec zorientowawszy się tylko, że dobrze list oddał, kiwnął im głową na pożegnanie i zniknął w tłumie.

Stefan przeprosił towarzystwo i rozerwał drżącą ręką białą kopertę... Nie mylił się! Na białej kartce maszynowym pismem było tylko wypisane tych kilka słów:

„Wiemy, że jesteś w Karlsbadzie. Umrzesz za 6 dni!"

Podpisu nie było...

Żarkow zauważył zmianę na twarzy Stefana.

— Pogonię za tym chłopcem! Mam wrażenie, że powinien był czekać na odpowiedź... — spojrzał porozumiewawczo na Stefana, ukłonił się paniom i odszedł rzucając po drodze zapłatę kelnerowi.

— Mam wrażenie, że pogonił raczej za jakąś zgrabną spódniczką! — zaopiniowała Wanda. Wtem zauważyła zmienioną twarz męża. — Co ci się stało, kochanie? — I co miał znaczyć ten dziwny list?

— Ech, nic takiego... — próbował bagatelizować troski, które go gnębiły od pewnego czasu.

Od kilku tygodni jesteś taki zmieniony! Czyżbyś... czyżbyś mnie już nie kochał? — Wanda z typową psychiką kobiecą wszystko sprowadzała do problemu miłości.

— Ależ kocham cię jak dawniej! — pospieszył ją zapewnić Stefan.

— Uważam, że ciotka powinna o wszystkim wiedzieć! — wtrąciła się niespodziewanie Irma. — Napewno dostał wuj znowu jeden z tych listów!...

— Jakto!? Więc wy macie przede mną jakieś tajemnice? — Wanda była szczerze zdziwiona.

— Dobrze, Wandeczko! Powiem ci o wszystkim! Stefan westchnął. Więc będzie musiał zaniepokoić swoją ukochaną Wandeczkę! A wszystkiemu winna ta Irma! Nagle wzdrygnął się na myśl... Czyżby, ona naprawdę była temu winna? Spojrzał na piękną siostrzenicę i serce ścisnęło mu się z żalu...

Wanda spojrzała na męża, a w oczach jej odbijało się wielkie zdziwienie. Co też Stefan mógł ukrywać przed nią? A może on poprostu wiedział o wszystkim? Może ten list pochodził od tamtego? Nie, to niemożliwe! Przecież René tak bardzo zależało na pieniądzach... Z napięciem czekała najbliższych słów męża. Ale Stefan rozmyślił się nagle.

— Nie chciałbym tak mówić w kawiarni... I tak już czas na obiad. Porozmawiamy w domu...

Wyruszyli w drogę powrotną. Wszystkim ciążyło milczenie. Wanda gubiła się w domysłach co też mąż mógł przed nią ukrywać. Myśli Irmy niechcąco powracały do przystojnego Rosjanina, a w głowie Stefana dojrzewał plan...

Stefan zawołał taksówkę i w kilka minut znaleźli się w hotelu. Przechodzili właśnie przez hall, gdy Irma spostrzegła nowego znajomego.

— Alez to pan Żarkow! — wyrwało jej się niechcąco. — Czy ten pan mieszka w naszym hotelu? — zagadnęła mijającego ich portiera.

— To jest nasz nowy tancerz! — objaśnił ją usłużnie.

Irma żachnęła się i spuściła oczy. Tancerz!... No tak! W tak wielkim miejscu kuracyjnym jak Karlsbad nie można być zbyt ostrożnym w zawieraniu znajomości...

— Ależ wujku! Jak mogłeś nam przedstawić tancerza!

Ale Stefan był wyraźnie zajęty innymi myślami.

— Tancerze są czasem też porządnymi ludźmi! — odpowiedział roztargniony.

Żarkow ukłonił się zdaleka. Irma udała, że tego nie widziała. Tancerz! całe przedpołudnie flirtowała z takim typem! Ale to wszystko wina Leona! Narzeczony powinien bardziej dbać o nią i nie zostawiać jej samej przez całe przedpopołudnie! Towarzystwo już zdążało do windy, gdy wtem Stefan rozmyślił się.

— Zobaczę, czy nie ma jeszcze jakich listów dla mnie u portiera! — i z tymi słowami zawrócił.

Drzwi windy za obiema kobietami zamknęły się, i Irma jeszcze tylko zdążyła zauważyć, że Stefan nie kierował się wcale w stronę lozy portiera.

Rozdział 6.

ZNIKNIĘCIE

Gdy Wanda weszła do swojego pokoju, zastała na stoliku mały bilecik wizytowy. Zdziwiona przeczytała kilka widocznie w pośpiechu nakreślonych słów: „Muszę się z panią widzieć we wiadomej sprawie. René".

Wanda wymknęła się szybko na korytarz i pospieszyła do znajomego jej już pokoju na najwyższym piętrze.

Tancerz był jeszcze bardzo blady po ostatnich przejściach. Nie leżał już jednak tym razem. Otulony w miękki jedwabny szlafrok spoczywał we wygodnym fotelu i palił papierosa. Na widok wchodzącej kobiety cyniczny uśmiech zakwitł na jego wargach. Niedbałym ruchem zaprosił ją by usiadła.

— Dobrze żeś przyszła! Chciałem z tobą pomówić o tym naszyjniku z pereł.

— Ile? — wykrztusiła Wanda otwierając torebkę.

— Na razie możesz schować torebkę! Ja jestem przecież uczciwym człowiekiem! — zaśmiał się cicho ale zaraz złe błyski zaświtały w jego oczach. Perły diabli wzięli! Właśnie ci to chciałem powiedzieć!...

— Co?... Co to znaczy?! — serce Wandy poczęło bić jak szalone.

— Anita nie ma twoich świecidełek!

— Ależ...

— Wiem! Wiem! Wszystko wiem! Nitka wyznała mi jak na spowiedzi! Dosyć zgrabnie się nawet do ciebie wzięła... śmiałem się z pół godziny!...

— No dobrze więc gdzie są Perły? — głos Wandy był ochrypły ze zdenerwowania... Co będzie jak Stefan się uprze i zacznie tę całą sprawę badać dokładnie!...

— Perły?... — René zamyślił się nieco. — Tak, tak! I jabym chciał wiedzieć gdzie one się znajdują... — i jakby wracając do rzeczywistości dodał ze złością. — Ta idiotka Nitka dostała od kogoś po głowie w korytarzu i wszystkie cacka znikły!...

Wanda patrzyła na niego przerażonym wzrokiem. Nie rozchodziło jej się o pieniądze ani o piękny naszyjnik! Bała się tylko, bała się okropnie, że Stefan się czegoś domyśli!...

— Więc co się właściwie stało? Ktoś napadł na tancerkę?

— I zabrał jej twoje kamyki!...

Nagle Wanda poczęła się śmiać.

— A René temu wszystkiemu uwierzył!...

Tancerz spojrzał z ukosa na swego gościa. Ta kobieta mogła mieć rację! Czyżby Anitka tak go w pole wyprowadziła?

— Brawo Wanda! Widzę, że twój rozumek jeszcze nie zwiądł tak samo jak twoja piękność! Właściwie dobrze by nam było razem!... — Chciał ją pogłaskać po kolanie, ale ona odepchnęła jego rękę ze wstrętem. — Nie chcesz czułości od swego...

— Zdaje mi się, że przyszłam tu w interesach! — przerwała mu zimno.

— Dobrze, dobrze! Ale pamiętaj jak znajdę perły to będę musiał mieć z czego żyć do końca życia!... — Nagle przypomniał sobie strychninę. — A żeby ci się odechciało jakichś niewczesnych kawałów, złożyłem pewne papiery u adwokata, które ma doręczyć twemu mężowi w razie mej niespodziewanej śmierci...

Wanda podniosła się z fotela, oczy jej rzucały błyskawice.

— A co się stanie jeżeli umrzesz przypadkiem?...

— Musisz dbać o to, żeby mi nic się nie stało! — odpowiedział ze zupełnym spokojem.

— Zresztą mniejsza o to! Przede wszystkim wydobądź naszyjnik! Mogłabym sama porozmawiać z tą tancerką, ale twoje metody będą na pewno lepsze...

— Możesz zdać się na mnie!... — Zimny błysk zamigotał w jego oczach. — Jeżeli kto potrafi wydostać od tej małej kamienie, to chyba tylko ja!...

„On ma rację! Muszę mu to pozostawić!" — przemknęło jej przez mózg. I tak była w jego rękach, a przynajmniej zapłaci za jednym zamachem i za odzyskanie kamieni. Ale jak się zabezpieczyć żeby René nie uciekł wraz z naszyjnikiem? Będzie go musiała kazać pilnować! Rzuci na niego jakieś niejasne podejrzenie wobec detektywa Blitza i każe go strzec dniem i nocą!

Wanda podniosła się z fotela.

— A więc sprawa jest załatwiona! Muszę teraz wrócić do mojego męża!... Z tymi słowami opuściła pokój tancerza.

Rzeczywiście spieszyło jej się do Stefana. Czego się ona teraz dowie od niego? Ten list w kawiarni na pewno nie był od René. Teraz jej dopiero przyszło na myśl, że przecież tancerz wcale nie mógł wiedzieć gdzie oni spędzą przedpopołudnie. Jeżeli już o to szło, to przecież nikt tego wiedzieć nie mógł. Chyba, że tam Stefana ktoś przypadkiem zobaczył...

Zaprzątnięta tymi myślami wróciła do swego apartamentu i zapukała do sypialni męża.

Odpowiedziała jej zupełna cisza. Wanda weszła zdziwiona ale Stefana nie było w pokoju. Drzwi do łazienki stały otwarte ale i tam nie było nikogo... Wanda przyszła do przekonania, że Stefan zeszedł już może do obiadu. Wobec tego postanowiła poszukać go w sali jadalnej. Poprawiła loczki przed lustrem i zeszła na dół.

Na sali siedziała już Irma z Leonem, widocznie bardzo zajęci jakąś narzeczeńską sprzeczką. Stefana nie było.

— Nie życzę sobie żebyś robiła znajomości z tancerzami! Ukłon tego draba był bezczelny!...

— Ależ mówię ci, że to wuj Stefan nas zapoznał! Czy nie tak ciociu? zwróciła się po ratunek do nadchodzącej.

— Stefan jest czasami doprawdy nieroztropny w zawieraniu znajomości — przyznała Leonowi Wanda. — Ale po co opowiedziałaś o wszystkim temu zazdrośnikowi? Czasem jest lepiej coś zachować w tajemnicy dla świętego spokoju... A propos tajemnicy! Czy nie widziałaś wuja? Nie ma go u siebie na górze, a przecież przyrzekł mi wyjaśnić tajemnicę tego listu...

— Listu!? — Leon zamienił porozumiewawcze spojrzenie z Irmą. — Czy twój wuj nawet tutaj otrzymał list?...

— Tak! Nie miałam ci nawet czasu o tym jeszcze powiedzieć, tak mi nadokuczałeś tym tancerzem...

Winowajca całej tej sprzeczki siedział opodal i jadł obiad. Na widok Wandy wstał od stolika i podszedł do całego towarzystwa.

— Pani baronowa pozwoli, że podam jej pewną wiadomość... Mąż pani prosił mnie aby jej donieść, że pan baron otrzymał pewne ważne wiadomości i musiał niezwłocznie opuścić Karlsbad autem. Zalecił mi pani powiedzieć aby się pani nie niepokoiła, gdyż prawdopodobnie listów pisać nie będzie i wróci dopiero za jakiś tydzień... — Tancerz skłonił się i wrócił na swoje miejsce.

Na chwilę przy stoliku zapanowała martwa cisza.

Pierwszy wybuchnął Leon, tracąc dużo ze swej stałej flegmy.

— To nie prawda!

— Kto wie co oni z wujem zrobili? — W oczach Irmy zabłysło przerażenie.

— Co... co to znaczy? Czy Stefanowi grozi jakieś niebezpieczeństwo? — Wandę dławił szloch za gardło...

Teraz Irma opowiedziała jej o wszystkim. O listach z pogróżkami, które Stefan otrzymywał w zamku, o niebezpieczeństwie, jakie mu grozi i w końcu o tym jak pospieszyła wujowi z pomocą.

Wanda słuchała, a w miarę opowiadania zdziwienie jej rosło coraz bardziej. Komu mogło zależeć na usunięciu Stefana? Nagle przyszło jej na myśl, że Irma miała po nim dziedziczyć. Innym wzrokiem spojrzała na piękną siostrzenicę swego męża. Czyżby?...

— Pan baron Kolmanyi ma widocznie wrogów politycznych! — Leon odzyskał już swoją zwykłą flegmę.

— Wrogów politycznych? — powtórzyła z niedowierzaniem Wanda.

— I ja w to uwierzyć nie chciałam, ale fakty mówią za siebie — zawtórowała narzeczonemu Irma.

Wanda nie mogła wprost przełknąć obiadu. Po krótkiej naradzie postanowiono zasięgnąć rady detektywa Blitza.

Detektyw był ogromnie przejęty i przyrzekł, że zrobi wszystko co będzie w jego mocy.

— Przede wszystkim zależałoby nam na tym, żeby się dowiedzieć gdzie się pan baron obecnie znajduje, — wyłuszczał mu z naciskiem Leon, gdy zasiedli wszyscy przy czarnej kawie w hallu.

— Ten tancerz musi coś wiedzieć! — zakonkludował Blitz. — Bo stwierdziłem u portiera, że żaden list nie nadszedł pocztą, a tamten wspominał o ważnych wiadomościach, jakie pan baron miał rzekomo otrzymać...

Na wspomnienie tancerza przypomniała sobie Wanda sprawę René i napomknęła detektywowi, że jest jej podejrzany w sprawie naszyjnika, żeby go więc śledził i w żadnym wypadku nie pozwolił wyjechać.

Detektyw i to przyrzekł solennie i na tym się ich narada skończyła. Wanda targana złymi przeczuciami, wróciła do swego pokoju...

Dalszy ciąg nastąpi.





MŁODZIEŻ ODDAJE HOŁD CESARZOWI

Przywiązanie narodu japońskiego do swojego cesarza stanowi zasadniczą cechę charakteru narodowego. Również młodziez japońska entuzjastycznie objawia swoje przywiązanie ubierając się w jednym dniu w roku w stare japońskie zbroje i urządzając uroczyste obchody.

Na lewo:

ZAPORA Z SIATKI — OCHRONĄ DLA HONKONGU

Z powodu skutecznych operacyj niemieckich sił morskich na wodach dalekiego wschodu, został brytyjski port Honkong zamknięty zaporą z sieci.

Na prawo:

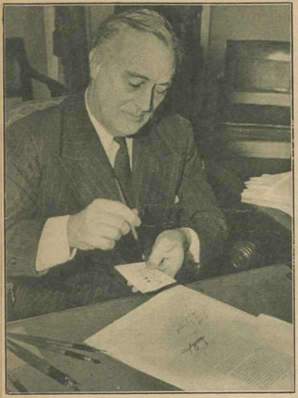
ON NIE CHCE IŚĆ DO WOJSKA USA

28-letni Frank Moncada bronił się wszelkimi sposobami przed spełnieniem swej powinności, gdyż jako należącemu do jakiejś sekty religijnej nie wolno mu wstępować do wojska.



NA PAMIĄTKĘ

Prezydent Roosevelt zużył do podpisania prawa pomocy dla Anglii sześć piór. Na zdjęciu naszym prezydent wyjmuje stalówke. aby przechować ją na pamiątkę.

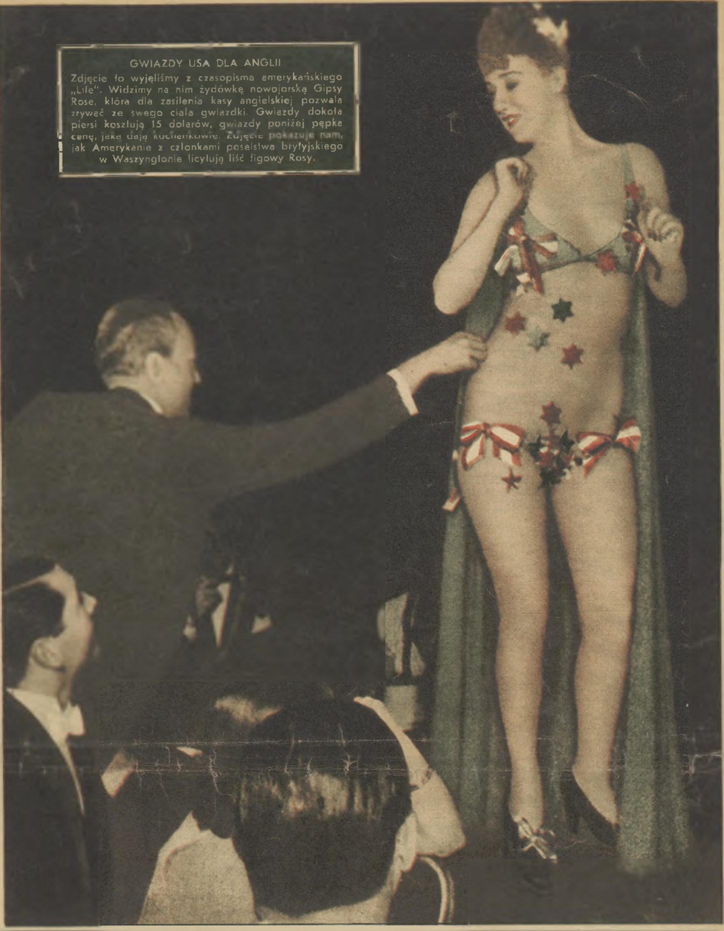


Fot. Ass. Press



STUDENTKA JAKO PATROLKA

Ta oto studentka instytutu politycznego w Czungking mając za sobą wyszkolenie wojskowe, ma zastąpić żołnierzy, którzy zostali odkomenderowani na front.



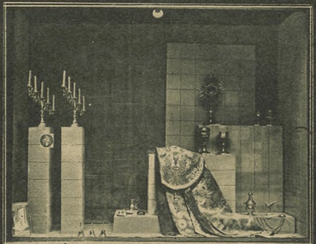
GWIAZDY USA DLA ANGLII

Zdjęcie to wyjęliśmy z czasopisma amerykańskiego „Life". Widzimy na nim żydówkę nowojorską Gipsy Rose, która dla zasilenia kasy angielskiej pozwala zrywać ze swego ciała gwiazdki. Gwiazdy dokoła piersi kosztują 15 dolarów, gwiazdy poniżej pępka cenę, jaką dają kochankowie. Zdjęcie pokazuje nam, jak Amerykanie z członkami poselstwa brytyjskiego w Waszyngtonie licytują liść figowy Rosy.

Wielkanocny Konkurs Wystaw Sklepowych w Krakowie



Piękna dekoracja okna wystawowego firmy Seip, na ulicy Floriańskiej, w której głównym motywem dekoracyjnym jest scena zmartwychwstania, zrobiona z falistego kartonu.



Inaczej znowu potraktowała swoją wystawę firma Kopaciński na ul. Brackiej przyozdabiając ją sprzętami liturgicznymi.

Izba Przemysłowo-Handlowa w Krakowie rozpisała na Wielkanoc 1941 r. konkurs wystaw sklepowych, przy czym jako zasadę ustalono, że nagrody przeznaczone do rozdania za najpiękniejsze i najbardziej atrakcyjnie działające wystawy, rozdzielone zostaną jedynie między polskie sklepy; niemieckie firmy zaproszone zostały do wzięcia udziału w konkursie bez prawa ubiegania się o nagrody.

Fot. Borek

Konkurs Wystaw sklepowych i szukanie klienteli w czasie wojny? Tak jest. Brak pewnych towarów i połączone z gospodarką wojenną ograniczenia nie powinny w myśl zamierzeń kierownictwa gospodarki stanowić ani w Rzeszy ani w G. G. powodu do rozluźnienia lub przerwania istniejącego związku między klientem a kupcem. Tak jak w czasie wojny Targi Wzorów np. w Lipsku i Wiedniu w dalszym ciągu odbywają się w niezmniejszonych rozmiarach, tak samo powinien kupiec w dalszym ciągu zabiegać o swoich klientów. W końcu może przecież kupiec w miejsce brakujących towarów zaofiarowywać zastępcze artykuły, które powinny być przedstawione klientowi w odpowiedni sposób.

Będący obecnie w pełnym toku Konkurs Okien Wystawowych, tuż przed rozdziałem nagród, spotkał się z pełnym zrozumieniem zarówno u kupiectwa, jak i u publiczności. Jakkolwiek z uwagi na sytuację stworzoną przez wojnę musiano zrezygnować z użycia np. materiałów, dykty itp., a w ich miejsce użyć papieru, kartonu falistego itp., to jednak okazało się, jak tego dowiódł odbywający się obecnie konkurs, że można okna wystawowe tymi środkami urządzić efektownie.

Wyniki Konkursu ogłoszone zostaną w dziennikach.



Również w oknie wystawowym firmy Szarski grają ozdoby z kartonu falistego główną rolę, jako moment dekoracyjny.



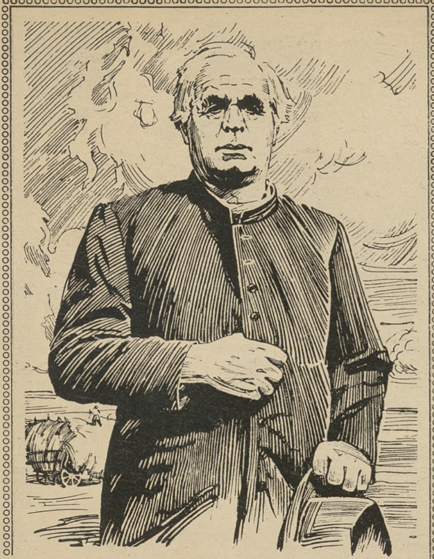
Firma Piasecki operowała przy dekoracji swej wystawy materiałem budzącym nie tylko uznanie dla pięknego wyrobu ale też apetyt widzów.



Skład przyborów szewskich Palcewskiego na ulicy Długiej musiał się uporać z trudnym zadaniem udekorowania okna wystawowego towarami mało dekoracyjnymi lecz wybrnął z tego zadania szczęśliwie.



Niezwykle miłą i smaczną dekorację widzimy w oknie wystawowym kawiarni „Bomboniera".



Lekarz duszy i ciała

Wielki Sebastian Kneipp był księdzem. Więc znał troski ludzkie i wiedział, ile ich pochodzi z niedomagań zdrowia.

Dlatego postanowił ksiądz Kneipp stać się lekarzem nietylko duszy człowieka, ale także jego ciała.

Całe życie poświęcił na to, by szukać środków i sposobów, które potrafią ludzi utrzymać przy zdrowiu.

A gdy już zdziałał na tym polu wiele dobrego, dał nam jeszcze ten odżywczy napój, który znamy pod jego imieniem,

KAWĘ SŁODOWĄ KNEIPPA





UWAGA! CZARNI FOTOAMATORZY MAJĄ GŁOS!

Spójrzmy na nasze zdjęcia, a zobaczymy na nich różnych dziwacznie poubieranych murzynów, stojących lub siedzących z mniej lub więcej głupimi minami i oczekujących z biciem serca na „pstryknięcie" aparatu. Zanim dojdziemy do właściwego tematu powiedzmy kilka słów o genezie tych fotografij. Otóż pochodzą one z atelier pewnego fotografa zamieszkałego w Kalabar, jednej z największych miejscowości Nigerii, do którego zgłaszają się różni potentaci murzyńscy, celem uwiecznienia w postaci tzw. „zdjęć gabinetowych". A propos słowa gabinet zwracamy uwagę, że zdjęcie powyższe przedstawia kacyka murzyńskiego w otoczeniu swoich „ministrów", poubieranych w dziwaczne cylindry z piórami.

Ale wracajmy do naszego punktu wyjścia. Obejrzawszy te zdjęcia przypomni się niejednemu z nas ta lub owa fotografia wyjęta z albumu rodzinnego, nie dlatego oczywiście, abyśmy mieli w rodzinie murzynów, lecz poprostu dlatego, że podobnie jak oni tak też i nasi dziadkowie i wujowie „uszeregowali" się jak liczby jednej cyfry, przed aparatem starając się zrobić jak najlepsze wrażenie. Niestety, osiągnęli skutek wręcz przeciwny!

A więc fotoamatorzy — uwaga! wystrzegajmy się pozy zwłaszcza tak oklepanej i stosowanej nawet przez murzynów, jaką widzimy na różnych rodzinnych zdjęciach grupowych. I pamiętajmy o tym, że nic nam nie pomoże pięknie zrobiony przedziałek, wyprasowane spodnie i marynarka, bo są to wszystko szczegóły nie mające nic wspólnego z kompozycją, no, i z fotografią oczywiście też. Niechaj nam ten „czarny" przykład obrzydzi upodobanie do tego rodzaju zdjęć, bo, jak widzimy, są one również ideałem murzynów, których w tym wypadku naprawdę nie należy naśladować.



Jeden z królików murzyńskich ubrany w dziwaczny płaszcz przypominający starą kotarę, koronę operetkową i uzbrojony w szablę, do której przywiesił frendzle od... kanapy.



Na lewo: A oto inny potentat murzyński, który, już nieco lepiej jak poprzedni, przywdział fantazyjny kostium, mający go zbliżyć do angielskich lordów ubranych w stroje orderowe.

Fot. Weltrundschau



Poniżej: Egzotyczna królowa ze swoim księciem-małżonkiem i z najbliższą rodziną kazała się fotografować na tle olbrzymiego angielskiego sztandaru.



RACJA!

Pan Korek widzi panią w wieczorowej sukni z ogromnym dekoltem na plecach i dziwi się: — Jaką też kombinację ma ta pani, jeżeli suknia jest aż tak wycięta?

*

TO BYŁO INACZEJ

— Panno Olgo, jak pani może mnie tak obrażać mówiąc, że nie chciałaby pani być moją córką?

— Ależ proszę pani, ja tylko powiedziałam, że nie chciałabym, by pani była moją matką.



Tak, panno Luciu, teraz nie potrzebuje się pani mną krępować. (College Humor, Ameryka)

ACH TE KOBIETY!

— Kobiety bardzo trudno zadowolić czymś.

— Tak, ma pan zupełną rację. Moja żona nie jest zadowolona z podarku, który sama kupiła dla mnie na gwiazdkę.

*

UZNANIE

Poeta: Cieszy mnie bardzo, proszę pani, że czytała pani mój utwór. Jak się on pani podobał?

Pani: Muszę przyznać, że z przyjemnością go... odłożyłam.

*

USŁUŻNY I KOLEŻEŃSKI

Trzech poszukiwaczy drogich kamieni w Afryce szukało właśnie kamieni, ale w zupełnie niewłaściwym miejscu, gdyż zabłąkali się. Wędrowali więc coraz dalej przez pustynię, nie mogąc znaleźć nigdzie drogich kamieni ani co gorsza nic do zjedzenia. Wreszcie wyczerpani doszli do jakiejś zapomnianej chaty i postanowili stąd narazie się nie ruszać. Ale co zrobić z jedzeniem? Jeden z trzech poszukiwaczy postanowił się poświęcić i dostarczyć im pożywienia za wszelką cenę, choćby to miał być lew. Nie potrzebował wcale daleko odchodzić. Spotkał rzeczywiście lwa i kiedy zwierzę zaczęło za nim gonić, pognał do chaty, lecz ze strachu upadł tuż przed drzwiami. Lew ominął go w rozpędzie i wpadł do chaty. Wtedy bohater prędko porwał się z ziemi, zaryglował drzwi z zewnątrz z zawołał: „Przyjaciele przyprowadziłem go wam. Zabijcie go, a ja idę po drugiego".



— Nie rozumiem cię już zupełnie, kochanie. Dawniej skarżyłeś się ciągle na moje rachunki u krawcowej, teraz kiedy znoszę twoje stare spodnie, znowu ci się to niepodoba.

— No tak, bo przecież ja nie mam się w co ubrać! (Il. 420, Włochy)

*

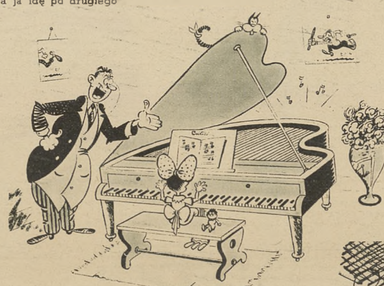
KTO WINIEN?

On: Więc mówisz, że jutro jest rocznica naszego ślubu? Kupię w takim razie kurę i zabijemy ją jutro.

Ona: Ależ, mężu, czy biedna kura jest temu winna?

*

W kinie: — *Proszę pani, może pani będzie tak uprzejma i zdejmie kapelusz z głowy, bo nic nie widzę.* (Koprive, Jugosławia)



— Więc ja zapłaciłem **1000** *dolarów za ten fortepian na to, abyś ty grała tylko w środku?* (Judge, Ameryka)

*

W BIURZE

— Wiesz, Lolu, mój szef ma nieznośny zwyczaj: trzyma pióro ciągle za uchem.

— Cóż ci to szkodzi?

— Szkodzi, bo po przywitaniu się z nim mam zawsze podrapany policzek.

JEGO TYP

— ...Tak, Kasia jest moim wymarzonym typem.

— To dlaczego się z nią wreszcie nie ożenisz?

— Przestałaby być przecież moim typem.

*

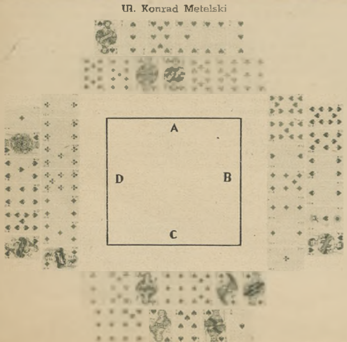


— Nnnie! najpierw musisz się ogolić. (New Jorker, Ameryka)



Rozrywki umysłowe

Ul. Konrad Metelski



B. D. grają szlemika w piki. A. wychodzi królem kier, czy BD. mogą wygrać grę?

ROZWIĄZANIE ZADANIA BRIDŻOWEGO Z Nr. 7. I. K. P.

AC mogą grać najwięcej cztery kara.

1	wychodzi	B 6, A, 4, 3 Trefl	lewa	1 AC
2	„	C A, 3, 4, 7 Pik	„	2 AC
3	„	C K, 5, Pik, 9 Kier, 9 Pik . .	„	3 AC
4	„	C D, 8, Pik, 7 Trefl, W Pik	„	4 AC
5	„	C A, 2, D, 3 Kier	„	5 AC
6	„	C 7, 10, Kier, 3 Karo, 4 Kier .	„	6 AC
7	„	A 4, D, K, 2 Karo	„	7 AC
8	„	C 10, 7, A, 5 Karo	„	8 AC
9	„	A 8, 5, D, K Trefl	„	1 BD
10	„	D W, 10 Trefl, 5 Kier, 2 Trefl .	„	2 BD
11	„	D 10 Pik, 6, W Karo, 2 Pik .	„	3 BD
12	„	B 8 Kier, 6 Pik W Kier, 8 Karo	„	9 AC
13	„	A 9 Karo, 6 Kier, 9 Trefl, K Kier	„	10 AC

Jeżeli króla Trefl z D zamienimy z 4 Pik, albo damą lub 9 Kier wówczas AC robią szlema w Trefle.

1	wychodzi	B 7, A, 3 Pik, 9 Kier	lewa	1 AC
2	„	C 2, 4, K, 5 Trefl	„	2 AC
3	„	A 3, 6, A, W Trefl	„	3 AC
4	„	C K, 4 Pik, D Kier, 9 Pik . .	„	4 AC
5	„	C D, 5 Pik, 3 Karo, W Pik . .	„	5 AC
6	„	C A, 2 Kier, 4 Karo, 3 Kier .	„	6 AC
7	„	C K, 2, 6, 5 Karo	„	7 AC
8	„	C 10, 7, A, W Karo	„	8 AC
9	„	A 8, D Karo, 9 Trefl, 10 Kier .	„	9 AC
10	„	C 7, W Kier, 7 Trefl, 4 Kier .	„	10 AC
11	„	A 9 Karo, 5 Kier, D Trefl 8 Pik .	„	11 AC
12	„	C 2, 10 Pik, 8 Trefl, 6 Kier .	„	12 AC
13	„	A 10 Trefl, 8 Kier, 6 Pik, K Kier .	„	13 AC

POŻAR

Pewne towarzystwo naftowe prowadzi poszukiwania za naftą nie tylko na lądzie ale i na morzu. Nick, nurek tego towarzystwa, odnajduje w głębi oceanu naftę, a przyjaciel jego Tom cieszy się z jego sukcesu, nie może jednak spokojnie patrzeć, jak Nick flirtuje z piękną Juaną. Jako przyjaciele omawiają tę sprawę po męsku, i Nick postanawia flirt przerwać. Wtedy jednak dowiaduje się, że Juana kocha tylko jego. Tymczasem niejaki Pedro postanawia wydobyć z dna oceanu zatopiony okręt, który zawiera złoto. Pozyskuje dla swych planów obu przyjaciół i intryguje tak, że czyni ich wrogami. Wszyscy wypływają na morze, Nick opuszcza się na dno, wypuszcza lampę, od której zapala się nafta. Jak się ta historia skończy — pokaże film.

Fot. Terra







na oceanie

Ilustrowany Kurjer Polski — Kraków, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93

Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 Pocztowe Konto Czekowe: Warszawa Nr 900